

DYSKUSJA

JAN SZEMINSKI

PROBLEM INDIAŃSKI

Miałem okazję przeczytać tekst referatu prof. M. Frankowskiej wcześniej. Mimo szczerych chęci nie dociekleń, na czym ma polegać, zdaniem autorki, problem indiański. Autorka poruszyła mnóstwo spraw tak, że w jej ujęciu problemu indiańskiego mieści się cała historia Ameryki Łacińskiej z wyjątkiem historii tych rejonów, w których Indianie zostali szybko wyniszczeni. Sądzę, że można w referacie wyróżnić cztery zespoły tematów. Są to: po pierwsze, problem stosunku białych do Indian w życiu codziennym, gospodarce i w ogóle w stosunkach społecznych (przez białych rozumiem tu oczywiście nie ludzi o określonym kolorze skóry, lecz tych, którzy są uznawani za białych ze względu na swą kulturę, język i miejsce zajmowane w społeczeństwie). Po drugie, problem dyskusji między białymi, jak należy traktować ludzi uznanych za Indian. Po trzecie, problem stosunku Indian do ludzi uznanych za białych. Po czwarte, problem wpływu faktu istnienia Indian na literaturę, sztukę i w ogóle kulturę grupy, którą umownie nazywamy białą. Wbrew tytułowi, referat objął czasy od odkrycia Ameryki po dzień dzisiejszy, co uważam za słuszne. Nie każdy z wyliczonych tematów został w każdym z okresów potraktowany równie szeroko.

Omawiając XVI—XVII-wieczną dyskusję hiszpańską autorka nie zwróciła uwagi na przyczynę różnic stanowisk pomiędzy różnymi grupami Hiszpanów: tj. Koroną, osadnikami i klerem, również zresztą zróżnicowanym. Sądzę, że jest to istotne, gdyż różnica zdań wywodziła się wprost z różnic interesów, głównie między Koroną a osadnikami. Jako przykład wystarczy wskazać stosunkowo humanitarne ustawodawstwo Korony, i zachowanie osadników, które, i to trzeba podkreślić, decydowało o rzeczywistej sytuacji Indian. Korona mogła decydować tak czy inaczej, ale o realizacji rozporządzeń decydowali osadnicy, a nie Korona.

Omawiając wiek XX autorka wyróżniła 3 rodzaje indianizmu, które dla ułatwienia nazwałem przeszłościowym, asymilatorskim i zgadzającym się na istnienie Indian. Pierwszy pyszni się piękną przeszłością indiańską, ale uważa, że obecni Indianie są miernotą, nadającą się najwyżej na siłę roboczą na folwarku. Drugi, asymilatorski, największy z trendów indianistycznych, głosi integrację — wcielenie Indian do społeczeństwa nieindiańskiego. Trzeci, dotąd marginalny trend indianizmu wyraża zgodę na odrębność Indian i uznaje prawo Indian do odrębności. Równocześnie autorka stwierdziła, że Indianie jak dotąd pozostali bierni wobec indianistycznych dyskusji. Rzeczywiście, rzadko zabierają głos na piśmie. Niemniej jednak według mnie powstania, bierny opór, asymilacja różnego rodzaju elementów kultur nieindiańskich, pojawianie się inteligencji indiańskiej, indiańskich robotników przemysłowych czy drobnych przedsiębiorców i wiele innych, często tym przeciwnych zjawisk świadczą o zajmowaniu przez Indian stanowiska praktycznego, z którego powinniśmy wyciągnąć wnioski. Moim zdaniem, nieporozumienie to wy-

nikło z dwu powodów. Po pierwsze ze słusznej rezygnacji ze zdefiniowania Indianina w ogóle, czego, jak wiadomo, uczynić raczej niepodobna, po drugie z niesłusznej rezygnacji z odpowiedzi na pytanie, kto uchodzi za Indianina. Rezygnacja ta stała się przyczyną pominięcia problemu dla spraw indiańskich niezwykle istotnego, tj. *cholo*, *indomestizo* i *blancomestizo*. Jeśli się przyjrzeć stosowaniu terminu *indio* przez miejscowe grupy dominujące, to okazuje się, że oznacza on określone grupy chłopskie w Peru czy Meksyku. Okazuje się również, że człowiek uczestniczący w obu kulturach, indiańskiej i nieindiańskiej, nie jest już uważany za Indianina. Na przykład w Peru nazywa się go *cholo*. Ze stosunku takich ludzi do obu kultur, z ich zgody na uczestniczenie w jednej, w obu lub ze zgody na asymilację elementów jednej, po to, by uczestniczyć w większym stopniu w drugiej, wynika niemożność rozpatrywania odrębnego problemu Indianina jako *indio*. Trzeba go rozpatrywać wraz z problemem wielu grup społecznych, które w miejscowej hierarchii społecznej stoją wyżej, bo nie są już zaliczane do Indian.

Autorka obszernie potraktowała XVI—XVII-wieczną dyskusję hiszpańską, podobnie XX-wieczną, ale nie porównała decyzji i trendów XVI-wiecznych z głównym, asymilacyjnym kierunkiem indianizmu XX-wiecznego. Gdyby to uczyniła, to okazałoby się, że tak jak rozporządzenia Korony łącznie z humanitarnym uznaniem Indian za ludzi wolnych i poddanie ich opiece kleru i *encomienderów* miały przystosować Indian do życia i pracy w społeczeństwie rozwiniętego feudalizmu, tak teraz ten wielki trend asymilatorski ma ich przystosować do życia i pracy w społeczeństwie kapitalistycznym. Z XVI-wiecznego przekonania ówczesnych Hiszpanów o własnej lepszości wynikała wiara, że najlepiej zamienić Indian w kastylijskich chłopów. Ostatecznie celem ruchu indygenistycznego nie jest ochrona, tworzenie rezerwatów itd., lecz jak najszybsze włączenie Indian do społeczeństwa, również przekonanego o własnej, bezspornej lepszości, w którym to społeczeństwie Indianie ci mają pracować. Jest zrozumiałe, że w warunkach młodej, rodzącej się dopiero tradycji narodowej tych krajów grupy rządzące raczej nie zgadzają się na odrębność społeczności indiańskich. Wszystkie te problemy znacznie silniej występują w krajach andyjskich niż w Meksyku, gdzie wciąż liczna, 3-milionowa grupa indiańska staje się stosunkowo marginalna, ponieważ jej procentowy udział wśród ogółu ludności maleje.

JAN J. MILEWSKI

PROBLEMY EKONOMICZNE

Pragnę zgłosić kilka pytań i uzupełnień do referatu doc. Kleera. Referat ten w wielu punktach pobudza do dyskusji, zwłaszcza tam, gdzie występują daleko idące uogólnienia. Autor w swym zagajeniu zastrzegł się co prawda, że — jak stwierdził — dał się skusić do napisania tak szerokiego tematycznie i czasowo referatu. Zdejmuje to z niego częściowo odpowiedzialność za niektóre generalizacje, trudne do uniknięcia przy takim temacie. Niemniej kilka spraw warto tu rozwinąć.

Pierwsza z nich to kwestia rozwoju gospodarczego Argentyny i roli, jaką odgrywała ona w Ameryce Łacińskiej i gospodarce światowej w okresie, który objął referat, tzn. w XIX i XX w. Wydaje się, że w referacie niedopowiedziane zostały w tej materii sprawy bardzo zasadnicze. Chodzi przede wszystkim o zmienność po-

zycji Argentyny wśród krajów rozwiniętych i rozwijających się. Trzeba zresztą przyznać, że autor pisze (na s. 3 referatu) o tym, iż w przededniu I wojny światowej dochód na głowę ludności Argentyny był wysoki w skali międzynarodowej. Warto przypomnieć, że Argentyna w tym okresie znajdowała się z punktu widzenia dochodu na głowę ludności w pierwszej dziesiątce, może nawet w pierwszej siódemce krajów świata.

Fakt ten wymaga specjalnego przypomnienia, bowiem w świetle wspomnianych w referacie teorii wzrostu gospodarczego, wzrost gospodarczy jest przedstawiany jako proces ciągły, wstępujący. Proces, który zaczął się niedawno, jeśli chodzi o kraje rozwijające się. Argentyna stanowi tu przypadek bardzo szczególny, może nawet jedyny na świecie z tego punktu widzenia. Jest to bowiem kraj, który jeszcze kilkadziesiąt lat temu zaliczany był do czołowych krajów rozwiniętych, dziś zaś przez wielu autorów, w tym i autora referatu, o którym mowa, klasyfikowany jest jako kraj rozwijający się.

Sam więc proces przeobrażeń gospodarczych Argentyny zasługuje na baczniejszą uwagę. Wnioski zaś z tej analizy będą w jakiś sposób rzutować na nasz obraz rozwoju Ameryki Łacińskiej. Na zakończenie uwag o Argentynie pragnę dodać, że samo klasyfikowanie tego kraju jako należącego obecnie do „świata B” jest sprawą kontrowersyjną. Wielu ekonomistów, zwłaszcza argentyńskich, nigdy by się na taką klasyfikację nie zgodziło.

Następna sprawa w referacie, która budzi moje wątpliwości, to stopień jednorodności czy podobieństw gospodarczych krajów Ameryki Łacińskiej. Oczywiście doc. Kleer mógłby bez trudu przytoczyć wiele argumentów świadczących o tym, że kraje Ameryki Łacińskiej mają sporo cech wspólnych, odróżniających je jako zespół od krajów innych kontynentów. Kiedy jednak spojrzymy na tabele 3 i 9 referatu, by nie szukać już innych argumentów, to powstać muszą wątpliwości, w jakim stopniu uogólnienia, do których skłania się autor, są uzasadnione i jaką mają one wartość poznawczą. Nie chciałbym tu wracać do kwestii, jak dalece doskonałą czy niedoskonałą miarą porównań rozwoju gospodarczego krajów jest dochód na głowę. Jeśli jednak przyjmujemy to kryterium za tabelą 9, to koncepcja jednorodności gospodarczej Ameryki Łacińskiej, przed którą zresztą doc. Kleer zastrzegł się w jakimś stopniu w swym zagajeniu, staje się bardzo wątpliwa.

Przed wszystkim mamy do czynienia w Ameryce Łacińskiej z ogromnymi różnicami dochodów na głowę między poszczególnymi krajami. Autor referatu stwierdza, że nie jest to jeszcze różnica klas, ale oczywiście nad tym można by dyskutować. Tabela ta wskazuje i drugą sprawę, podważając koncepcję jednorodności krajów Ameryki Łacińskiej, a mianowicie dobrze znane różnice liczby mieszkańców poszczególnych krajów. Mamy tu więc do czynienia ze zjawiskami bardzo różnymi, zarówno ilościowo, jak i jakościowo. Warto może, aby autor rozwinął sprawę często statystycznej analizy tych zagadnień, bowiem różnorodność zjawisk gospodarczych w skali krajów i całego kontynentu stwarza niebezpieczeństwo poważnych błędów metodologicznych przy uogólnieniach.

Te różnice w dochodzie na głowę i rozmiarach ludności poszczególnych krajów prowadzą do następnej sprawy, w której autor zajął zdecydowane stanowisko. Jest to mianowicie rola rynku wewnętrznego w rozwoju gospodarczym. W swym zagajeniu referat podzielił z grubsza ekonomistów z punktu widzenia ich poglądów na ten temat na dwie grupy. Pierwsza to optymiści, którzy zamilkli w okresie II wojny światowej, którzy widzieli największe siły rozwoju gospodarczego w rynku wewnętrznym. Druga grupa to pesymiści, do których autor i siebie zaliczył, którzy główne siły rozwojowe widzą w szeroko pojętym sektorze zagranicznym.

Oczywiście grup takich można by wymienić więcej. Można też przypomnieć, że oba te poglądy mają charakter historyczny i kojarzą się z innymi fazami rozwoju. Ale chcę tu zwrócić przede wszystkim uwagę na praktyczny aspekt zagadnienia, tzn. na rozwój gospodarczy, dokonujący się w krajach Ameryki Łacińskiej i innych krajach rozwijających się. Uprzemysłowienie, rozwój infrastruktury, migracje ludności, urbanizacja, rozwój planowy i spontaniczny, wszystkie te procesy dokonują się przede wszystkim w ramach poszczególnych państw. A to musi oznaczać rozwój rynku wewnętrznego, niezależnie od roli, jaką odgrywa w tym sektor zagraniczny.

I tutaj pragnę wrócić do sprawy ogromnych rozpiętości w liczbie ludności poszczególnych państw Ameryki Łacińskiej. Kiedy mowa o krajach takich, jak Meksyk, Argentyna czy Brazylia powątpiewanie w możliwości rozwoju przez rynek wewnętrzny, równoległe do sektora zagranicznego, wydaje się nadmiernym z kolei pesymizmem. Oczywiście to, co powiedziałem wyżej, w mniejszym stopniu odnosi się do krajów niewielkich, o liczbie ludności poniżej 10 a nawet 5 mln. Ale nawet w ich przypadku trudno wyeliminować rolę rynku wewnętrznego jako jednego z czynników rozwoju.

Ostatnia sprawa, którą chcę poruszyć to lekarstwo, jakie doc. Kleer zaleca Ameryce Łacińskiej dla przyspieszenia jej rozwoju gospodarczego. Jest to integracja gospodarcza. Jak wiadomo, integracja na wszystkich kontynentach jest terminem, mającym dziś zabarwienie zdecydowanie pozytywne. Dlatego integracja jest deklaracją, którą należy składać, tak też czynią działacze gospodarczy w Argentynie, Boliwii, Brazylii czy Ekwadorze. Niemniej wydaje się, że od deklaracji do możliwości realizacji, a od możliwości realizacji do jej pozytywnych efektów droga jeszcze daleka.

Wydaje mi się, że ten optymizm co do integracji w wypadku Ameryki Łacińskiej jest zbudowany na niezbyt silnych podstawach. Oczywiście każdy ekonomista studiujący materiały niewątpliwie najlepszej komisji regionalnej ONZ — dla Ameryki Łacińskiej, jest w jakiś sposób zafascynowany możliwościami integracji, jej dotychczasowymi osiągnięciami, postępami w dziedzinie normalizacji itd. Czy jednak rzeczywiście wobec tych ogromnych rozpiętości w dochodzie narodowym, znacznych odległości, słabym poziomie rozwoju gospodarczego, powtarzalności pewnych modeli gospodarczych, integracja może być tym panaceum? Wydaje mi się, że zagadnienie to warte jest jakiegos rozwinięcia.

RYSZARD STEMPOWSKI

PROBLEMY WOJSKA

Tezy referatu o roli armii w dziejach Ameryki Łacińskiej można zarówno analizować na tle głównych nurtów interpretacyjnych w historiografii, jak i w obrębie tego, co powstaje na polu nauk politycznych, głównie zresztą w Stanach Zjednoczonych.

W literaturze poświęconej związkom armii ze strukturami społecznymi da się przeprowadzić dość wyraźne podziały. Historycznie wcześniejszy jest kierunek, którego klasycznym wyrazem jest praca Edwina Lieuwena, lecz nie ta powoływana w referacie, ale: *Arms and Politics*. Jaka to jest koncepcja? Jest to przede wszy-

stkim przymierzenie wzorca demokracji, takiej, jaka funkcjonowała w krajach wysoko rozwiniętego kapitalizmu (właściwie z pominięciem odrębności systemu prezydenckiego) do procesów zachodzących w interesującym nas regionie. I oto w referacie czytamy np. o „niedowładzie demokracji” i „defektach struktury społecznej”, a gdzie indziej znów autorzy wprowadzają element „bardziej optymistyczny” — o tym, jak to pewien generał wprawdzie zdobył władzę przy pomocy armii, ale „jako pierwszy zrozumiał, że prawidłowy rozwój państwa i społeczeństwa wymaga, aby władza cywilna została wyniesiona ponad armię”. Nie dziwi już teraz fakt, że autorzy tyle piszą o armii, która „interweniuje” i jest „czynnikiem chaosu”.

Oczywiście, wszyscy piszący w tym duchu, zadają także pytanie o przyczynę tych faktów, a raczej tego, co za fakty uważają. Jako pierwszą przyczynę tak doniosłej politycznie roli armii wymienia się wojny niepodległościowe, które miały tak tę rolę armii ukształtować. Echo tego poglądu znajdujemy w referacie, gdy autorzy piszą o wszechpotędze armii i o tym, że była ona zmuszona interweniować w życie polityczne. Co to oznacza? Przecież armia była w centrum polityki, była elementem ówczesnego systemu, nie można jej wyizolować i stawiać jakby na zewnątrz całej struktury politycznej, który to system polityczny jest jakoby „dezorganizowany” przez „ingerującą” weń armię. Innym, najczęściej wymienianym czynnikiem sprawczym ma być *personalismo*. Czytamy w referacie o mentalności latynoamerykanów, która ma rodzić przywiązanie raczej do ludzi niż do idei, a spośród ludzi — wybiera się w Ameryce Łacińskiej podobno najchętniej osoby we wspaniałych mundurach. Trochę przerysowałem stanowisko autorów, ale jest ono typowe dla tego zbytnio psychologizującego sposobu wyjaśniania procesów społecznych.

I jeszcze jedno: gdyby rozwinąć tytuł referatu, brzmiałby on — rola armii w dziejach państw Ameryki Łacińskiej. W ogóle, funkcję armii można zrozumieć — trzeba przypomnieć ten prawie banał — dopiero w odniesieniu do instytucji państwa. Nie wszelka jednak siła zbrojna (mowa o pierwszych dziesięcioleciach XIX w.) to armia. Kiedy mówię: armia, wskazuję na funkcję państwa.

Wszystkie te krytycznie zasygnalizowane elementy obecne są w pełni tam, gdzie autorzy omawiają zjawisko *caudillismo*, które przedstawia się nam w kategoriach militarystyki, „zdegenerowanej” formy politycznej omnipotencji wojska „dezorganizującego” system polityczny itd.

Należy jednak pamiętać o tym, że w nowo powstałych państwach (ani przedtem) nie istniał system parlamentarny, nie istniały nowoczesne partie, nie było co „dezorganizować”. Istniały jednak różnice interesów i właśnie te zróżnicowane interesy różnych grup społecznych są wyrażane, organizowane, realizowane — przez *caudillos*. Charakter gospodarowania, szczególne cechy kultury, regionalne zróżnicowanie oraz fakt naruszenia starej struktury politycznej — umacniały specyficzny wzorec zależności i lojalności osobistych i więź lokalną. *Caudillo* najczęściej dysponuje siłą zbrojną, prywatną. *Caudillo* sam jest często wojskowym, w tym sensie, że uczestniczył w walkach niepodległościowych. Zresztą armia nie jest jeszcze profesjonalizowana i granica pomiędzy wojskowym a cywilem nie może być ostra. Ponieważ armia jest ważnym kanałem mobilności pionowej, drogą awansu społecznego, przeto sojusz z *caudillo* jest dla różnych grup oficerów elementem sprzyjającym ich awansowi. Co więcej, armia nie jest przecież jednolita społecznie, jest podatna na te same sprzeczności i reguły społecznego bytowania i stylu w polityce, co ogół. Dodajmy do tego słabość lub nieskuteczność scentralizowanej egzekutywy wobec wojska, dodajmy do tego armie organizowane w różnych prowincjach itp.

zjawiska, a przekonamy się, że *caudillismo* nie jest zagadnieniem z zakresu militarystyki, lecz należy do szerzej pojmowanej historii społecznej i politycznej, w której, oczywiście, należy uwzględnić instytucję armii, nie tylko jako jedną z wielu części znacznie większej całości.

Inny, nowszy kierunek interpretacyjny, najlepiej charakteryzuje znana praca Johna Johnsona. O ile podejście w stylu Lieuwena było charakterystyczne dla pierwszej części referatu, to dla drugiej typowe będą koncepcje à la Johnson. Ten sposób wyjaśniania roli wojska zrodził się pod wpływem analizy procesów niedawnych. Nowe też jest tu kryterium oceny roli armii. To znaczy — i tu obecny jest motyw europocentryczny, ale już przetworzony. Mniej ważny jest teraz stosunek armii do konstytucji, ważniejsza jest postawa wobec idei i praktyki rozwoju gospodarczego. Tak więc, to przetworzone kryterium bardziej uwypukla ekonomiczne interesy tzw. klasy średniej, faktycznie — burżuazji rodziwej („modernizacja”). Przyjęcie tego kryterium prowadzi do częściowego uzasadnienia przydatności niektórych reżimów wojskowych w ostatnich dziesięcioleciach, taki tek ton odnajduję w referacie

Ani pierwszy, ani drugi sposób tłumaczenia roli wojska nie wystarczają do wyjaśnienia najważniejszego zjawiska, jakim jest pojawienie się reżimów wojsko-populistycznych. Obydwa nurty traktują polityczną aktywność wojska jako coś bardziej (Lieuwen) lub mniej (Johnson) przeciwstawnego interesom średniej burżuazji i drobnomieszczaństwa. Ograniczenia obydwu postaw badawczych spowodowały podjęcie prób przezycięcia pokazanych trudności. Obydwie te postawy odrzuca np. José Nun.

Nun odwraca jakby całe rozumowanie swoich poprzedników i pisze wręcz o „wojskowym zamachu klasy średniej”. To klasa średnia, jeszcze zdominowana przez oligarchię i już zagrożona przez klasę robotniczą, dokonuje wojskowego zamachu stanu rękami oficerów z niej samej się wywodzących, po to go dokonuje, by zrealizować swe własne klasowe interesy. Model Nuna wnosi wiele nowego i można za jego pomocą sporo wyjaśnić w dziejach Argentyny i Brazylii w okresie ostatnich kilkunastu lat. Ale już dla pokazania genezy peronizmu podejście takie nie jest wystarczające.

W każdym razie, żaden z omawianych sposobów wyjaśniania nie ma dla zrozumienia Ameryki Łacińskiej znaczenia uniwersalnego, a zatem nie wolno ich w ten sposób stosować. Stanu pożądanego nie osiągnie się też przez niespójne połączenie dwóch hipotez nieadekwatnych. Odpowiedzi na pytania o rolę sił zbrojnych (w danym okresie i danym kraju!) trzeba raczej szukać w badaniach mnogich procesów konkretnych, zanim zostanie sformułowana teza o zasięgu teoretycznym, ogólnym.

MARIAN MAREK DROZDOWSKI

PROBLEM STOSUNKÓW MIĘDZYNARODOWYCH

W modelu badań stosunków między Stanami Zjednoczonymi a Ameryką Łacińską powinniśmy uwzględnić aspekt ekonomiczny, polityczny i dyplomatyczny, wzajemną więź tych wątków. W referacie dra Zyblikiewicza zabrakło tego powiązania. Polityka ekonomiczna Wilsona sprzyjała aktywizacji stosunków ekonomicznych z Ameryką Południową. W październiku 1913 r. wydano ustawę o obniżeniu ceł na surowce, artykuły żywnościowe. Rezultatem tej ustawy o obniżce ceł były

udogodnienia w obrotach z krajami Ameryki Południowej i poważna niżka cel artykułów żywnościowych w Stanach Zjednoczonych. Obok polityki cel istotnym elementem polityki Wilsona było wprowadzenie kontroli państwa nad kredytem oraz uruchomienie pomocy kredytowej dla eksporterów mających aktywne stosunki z krajami Ameryki Łacińskiej. To był drugi istotny element aktywizujący stosunki ekonomiczne między Stanami Zjednoczonymi a Ameryką Łacińską. W rezultacie, jak słusznie autor podkreśla, korzystna koniunktura gospodarcza związana także wzrostem zamówień importerów europejskich spowodowała, że wzajemne obroty wzrosły w latach 1912—1919 trzykrotnie. W tym okresie mimo tej aktywizacji, mimo deklaracji Wilsona, mamy do czynienia w 1916 r. z 8-miesięczną okupacją Vera Cruz pod pretekstem walki z bandytyzmem, a był to w gruncie rzeczy akt agresji.

Druga sprawa, o którą chcę się upomnieć na marginesie referatu, to wpływ zaangażowania Stanów Zjednoczonych jako tzw. państwa stowarzyszonego w konflikt europejski na stosunki między Stanami Zjednoczonymi a Ameryką Łacińską. Oczywiście Stany Zjednoczone były zaniepokojone rosnącą ingerencją państw centralnych, a przede wszystkim Niemiec w strefę Ameryki Łacińskiej. Wiemy, jakie reperkusje miała afera Zimmermana z 1917 roku — zapowiedź pomocy Niemiec, jeśli chodzi o przyłączenie stanu Texas, Arizony, Nowy Meksyk do Meksyku. Niestety, w referacie nie mamy odpowiedzi na pytanie, jakie były reperkusje sytuacji politycznej Stanów Zjednoczonych sprzyjających państwom Ententy, a następnie biorących udział w wojnie od kwietnia 1917 roku, na wzajemne stosunki? Jaka była reakcja Ameryki Łacińskiej na udział Stanów Zjednoczonych w wojnie po stronie Ententy. To jest dość istotna, moim zdaniem, sprawa. Przechodzę do następnych okresów, do polityki Hardinga, Coolidge'a, Hoovera. Hasło „Ameryka przede wszystkim” — izolacjonizm polityczny wobec Europy, a jednocześnie wzrost interwencjonizmu ekonomicznego, oto co dominowało w polityce amerykańskiej. Okres liberalizmu ekonomicznego epoki Hardinga, Coolidge'a, Hoovera w dalszym ciągu sprzyjał rosnącej roli Ameryki Łacińskiej w eksporcie i imporcie Stanów Zjednoczonych. W 1929 roku odbiorcami 37% eksportu amerykańskiego są kraje Ameryki Łacińskiej i ich produkty stanowią również 37% importu Stanów Zjednoczonych. A więc więź ekonomiczna z Ameryką Łacińską i Kanadą dorównuje więzi ekonomicznej z krajami europejskimi łącznie.

Pytanie, czy polityka Roosevelta, jeśli chodzi o stosunek do Ameryki Łacińskiej, była kontynuacją polityki Wilsona. Jak wiemy, była to tak zwana polityka dobrego sąsiedztwa. Otóż wydaje mi się, że trudno jest zrozumieć politykę Roosevelta wobec Ameryki Łacińskiej w oderwaniu od całokształtu jego polityki, a przede wszystkim w oderwaniu od jego polityki ekonomiczno-społecznej. Roosevelt był zmuszony skoncentrować całą energię, cały wysiłek na rozwiązaniu konfliktów wewnętrznych, na rozwiązaniu problemów bezrobocia i konsekwencji społecznych wielkiego kryzysu. Koncentracja na sprawach wewnętrznych jest chyba źródłem polityki dobrego sąsiedztwa. Jest źródłem odwołania poprawki Platta, która miała istotny wpływ na stosunki amerykańsko-kubańskie. Jest źródłem zawarcia, mimo trudności, szeregu traktatów handlowych z krajami Ameryki Łacińskiej w latach trzydziestych. Źródłem decyzji z sierpnia 1934 r. o wycofanie ostatnich oddziałów z Haiti, i rozszerzenia suwerennych praw Panamy w strefie kanału. Ratyfikacja tej decyzji pod wpływem opozycji amerykańskich kół wojskowych nastąpiła dopiero w lipcu 1939 r.

Wszystkie te fakty wskazują na pewną specyfikę polityki Roosevelta wobec Ameryki Łacińskiej w stosunku do innych prezydentów tego okresu.

JAN KIENIEWICZ

PROBLEMY SYNTEZY

W dyskusji nad tak ważkim projektem wszystko jest do omówienia. Takich dyskusji będzie niewątpliwie coraz więcej, coraz bardziej konkretnych, coraz bardziej roboczych. Chciałbym skorzystać z okazji do wypowiedzenia paru uwag o perspektywach uprawiania historii Ameryki Łacińskiej i w ogóle przeszłości Trzeciego Świata. Jestem pesymistą, bo w moim przekonaniu brak w naszych warunkach szans na powstanie szkoły naukowej podejmującej problematykę pozaeuropejską. Myślę o szkole w tradycyjnym znaczeniu tego słowa. To smutne przekonanie opieram nie tylko na doświadczeniach własnych. Mówiono tu wielokrotnie o braku podstaw materialnych, o słabościach bazy źródłowej. Polskie zasoby archiwalne mogą w najlepszym wypadku stać się uzupełnieniem, służyć za warsztat dla ćwiczeń. Samodzielnie nie otwierają drogi dla szerszych badań indywidualnych. Co dopiero dla zespołu. Jałowość dyskusji i daremność wysiłków w zakresie organizacji badań jednostkowych (stypendia, książki) utrudniają nam wyobrażenie sobie jakiegoś innego stanu rzeczy.

Z drugiej strony z tym większą satysfakcją słuchałem tej dyskusji i nie sędzę, by nasze wysiłki były tylko przeżuwaniami cudzych wyników. Grupa ludzi podejmujących prace nad historią Ameryki Łacińskiej ma pewne atuty w postaci warsztatu naukowego i możliwości intelektualnych. Szansą naszą jest oparcie w szerokim środowisku historycznym, z którego wychodząc możemy próbować przedstawić punkt widzenia zupełnie inny na sprawy już badane. I zdaje mi się, że rzeczywiście dostrzegamy nieraz sprawy zgoła nowe. To może zainteresować przedstawicieli nauk historycznych krajów pozaeuropejskich. Jesteśmy zgodni, że te szanse dotarcia do dalekiego odbiorcy nie są należycie wykorzystane. Nie zawsze też pamięta się, że te egzotyczne badania potrzebne są także na naszym własnym podwórku, i to nie tylko dla komparatystyki.

Mam wrażenie, że uporem i wysiłkiem uda nam się napisać jedną książkę, może dwie. Czy ktoś zdołał dać więcej niż trzy? Możliwe, ale to nie zmienia faktu, że cała ta działalność sprawia wrażenie hobby grupy maniaków. Jak długo nie uda się nam przełamać tej postawy, co w końcu wiąże się z ogólną sytuacją w humanistyce, tak długo uważam próby nasze za konieczne, ale pozbawione większych szans.

W tym totalnym pesymizmie pozwolę sobie jednak uchylić małą furtkę. Wydaje mi się, że projekt przedstawiony przez prof. T. Łepkowskiego, a jego trudności dopiero zaczynamy sobie uświadamiać, może być taką szansą. Szansą przełamania schematu, szansą na stworzenie autentycznej szkoły naukowej. Nie wyobrażam sobie, by ktokolwiek sam z siebie docenił rolę podejmowanych tu badań naukowych, możemy mieć tylko nadzieję, że tak ambitny projekt ułatwi sforsowanie przeszkód o charakterze finansowym. Jak wiemy, nie chodzi o wielkie rzeczy, przede wszystkim o trwałą i realną perspektywę poparcia. Indywidualne przykłady, nie tylko historyków, wskazują na możliwość realizowania spraw pozornie niewykonalnych. Rozumiem rozgoryczenie dra M. Kuli, bo chwilami odechciewa się dalszego zajmowania marginesowymi u nas tematami. Chciałoby się wtedy podjąć jakąś historię Warszawy czy małych miast w Polsce, które to tematy, jak tyle innych, są ważne, czekają na chętnych. I tylko szkoda włożonego wysiłku w przygotowanie warsztatu, który przecież w naszym wypadku jest wyjątkowo pracochłonny.

Synteza, z którą wiążemy tyle nadziei, wymaga przede wszystkim sprecyzo-

wania tematu. Jaka Amerykę Łacińską będzie się badać? Nie mam nic do dodania do tego, co powiedział prof. Łepkowski. Chciałbym tylko zapytać, czy ujęcia regionalne nie są zbyt daleko idącym kompromisem? Czy zespół przygotowujący syntezę nie byłby zdolny przedstawić rzeczy problemowo? Przypadkowo nie zajmuję się Ameryką Łacińską i trudno mi powiedzieć, jaki mógłby być zestaw tematów. Nie było tu przez dwa dni mowy np. o roli środowiska biologicznego, które w warunkach amerykańskich wpływało na bieg wydarzeń w sposób nader istotny.

Na koniec uwaga o periodyzacji. Jeśli istnieje coś wspólnego między krajami Ameryki Łacińskiej, to najprędzej wspólne dziedzictwo. Wszystkie terytoria i kraje mniej więcej w jednym czasie były poddane podobnym wpływom zewnętrznym, analogicznej władzy portugalskiej czy hiszpańskiej. W chwili uzyskiwania niepodległości historia współczesna tych krajów była już wyraźnie określona. Wypadałoby zacząć raczej od momentu, gdy w tradycyjnym społeczeństwie kolonialnym formowały się zasadnicze procesy wieku XIX. Może to być formowanie się państwowości albo kierunek trendu rozwojowego, powodzenie czy też niepowodzenie starań o zainicjowanie wzrostu. Są to procesy sięgające głęboko w wiek XVIII, tak mi się w każdym razie wydaje. Tu popierałbym sugestię mgr. J. Szemińskiego. I jedno pytanie na zakończenie. Może całkowicie zbędne. Czy synteza projektowana w Warszawie będzie szukać oparcia i pomocy w ośrodkach latynoamerykańskich poza granicami? Myślę nie tylko o naszych sąsiadach, którzy jakoś sobie lepiej radzą z problemami materialnymi i materiałowymi. Niektóre tematy zasadnicze dla powstającej syntezy są dopiero w stadium opracowania i mowy być nie może o wyłączeniu w tym Latynosów. Nie jest pewne, czy w jakimkolwiek realnym terminie dowiemy się czegoś o badaniach nad dochodem narodowym itp. Wiem, że takie prace były podejmowane w Argentynie i sądzę, że nawet na drodze kontaktów osobistych można by z nich skorzystać. Nie wątpię, że podobnie rzecz się może przedstawiać dla wielu innych problemów i ośrodków.

TADEUSZ ŁEPKOWSKI

PODSUMOWANIE DYSKUSJI NAD SYNTEZĄ DZIEJÓW AMERYKI ŁACIŃSKIEJ. ZAMKNIĘCIE OBRAD KONFERENCJI

W dyskusji mówiono o dwóch zespołach problemów. O sprawach dotyczących konkretnie projektu syntezy — to pierwsze, i o „gorzkich żalach” — to drugie.

Ponieważ nie chciałem zakończyć mego wystąpienia „gorzkimi żalami”, więc ten drugi punkt wysuwam przed pierwszy. Wydaje mi się, że chyba nie warto zbyt wiele miejsca poświęcać sprawie dość oczywistej, tzn. różnym trudnościom, jakich mamy wiele i z jakimi jeszcze będziemy się borykać.

Rozpocznę od pewnej myśli, która nasza mnie już dawno temu. Otóż my wszyscy, niezależnie od różnych opinii, jakie mamy na temat „Che” Guevary, cenimy wysoko tego człowieka. Chcę więc tu przywołać tę wielką postać. W pięknie napisanym wstępie do *Dziennika z Boliwii* Ryszard Kapuściński zsyntetyzował myśl Guevary w krótkim zdaniu: „ktoś musi zacząć”. Jest to przecież jakby motto do tego, co robimy od lat paru i robić będziemy w latach następnych. Ktoś polską syntezę dziejów Ameryki Łacińskiej musi zacząć. Nie możemy biernie czekać na to, by za dwa lata czy za lat osiemnaście jakiś zespół postanowił, że zabie-

rze się do tej trudnej pracy. Trzeba działać, wiedząc, że nasza robota będzie z tych czy innych względów niedoskonała, ale wszak doskonałych syntez raczej nie ma.

Kontynuuję moją myśl. Chcemy stworzyć, a częściowo, być może, już stworzyliśmy, nasze polskie *foco revolucionario* w historiografii. Ognisko to postara się „zarazić chorobą latynoamerykańską, trzecioświatową” większe grono historyków, a może także szersze warstwy społeczne.

O trudnościach, na jakie napotykamy, pragnąłbym powiedzieć niewiele. Poruszę tylko dwie sprawy.

Pierwsza, to „uzależnienie” naszej Pracowni. Mam tu na myśli paradoksalny fakt: w wielu drobnych i ważniejszych sprawach jesteśmy „na garnuszk” pewnego amerykańskiego uniwersytetu, ściślej „na garnuszk” pani E. Simonson. Tę bibliotekarkę poznaliśmy wspólnie z ambasadorem Drohojowskim i odbyliśmy z nią miłą rozmowę. Pani Simonson jest dla nas bardzo sympatyczna i przesyła Pracowni wiele książek. Są to dublety i tryplety z biblioteki Uniwersytetu Indiana, które wielce się nam przydają. Gdyby nie te publikacje, prawdopodobnie nasze księgozbiory i nasze rozprawy byłyby uboższe. Ale jest to jednak sytuacja paradoksalna. Biblioteka Instytutu Historii PAN bardzo nam pomaga i zakupuje niektóre książki, ale — rzecz jasna — dzieje Polski pozostają w jej działalności na pierwszym planie. Dlatego powtarza się nam: wymieniajcie. Słusznie, lecz przecież nie możemy wymieniać dopóty, dopóki nie wyprodukujemy kilku przynajmniej poważnych książek i to publikowanych nie po polsku.

Druga sprawa dotyczy ilościowego i jakościowego rozwoju latynoamerykanistyki u naszych sąsiadów. Z uwagi na rozmiary kraju i jego wielkie możliwości przykład ZSRR nie jest najlepszy. Ale przecież kraje mniejsze od nas, NRD i CSRS, biją nas — gdy idzie o badania latynoamerykańskie — pod wieloma względami. Najwymowniejszy jednak przykład, to Węgry. W tym 10-milionowym kraju istnieje w Szeged mała komórka naukowa, kierowana przez prof. Tibora Wittmana. Uczony ten, który w europejskim ośrodku koordynacyjnym badań latynoamerykańskich reprezentuje wszystkie kraje socjalistyczne, skupił wokół siebie trzy, o ile się nie mylę, osoby. Prof. Wittman otrzymuje jednak daleko idącą pomoc ze strony swych władz naukowych i politycznych. Do Ameryki Łacińskiej jeździł chyba siedmiokrotnie. Ponieważ interesuje się głównie, acz nie tylko, problematyką andyjską, był parokrotnie na badaniach w Ekwadorze, Boliwii, Peru i Chile. Był też na Kubie.

Porównanie sytuacji naszej latynoamerykanistyki z jej rozwojem i traktowaniem u sąsiadów wypada dla nas przygnębiająco.

Przechodzę do spraw dyskusji nad projektem syntezy. Nie będę ustosunkowywać się do szczegółów, gdyż rozpatrzone one zostaną i wyjaśnione w toku prac nad naszym zarysem.

Ważną sprawą, podjętą aż w trzech wypowiedziach, jest problem periodyzacji. Kiedy wypada zacząć w naszym zarysie wiek XIX? Myślę, że jest to kwestia warta dalszej wymiany zdań. W trakcie dyskusji nad konspektem, w pierw „wewnętrznej”, a potem „zewnętrznej”, a więc toczonej w gronie szerszym, problem ten ostatecznie się wyklaruje. Wcale nie jestem pewien, czy rzeczywiście symboliczna granica 1800 r. jest najlepsza. Nie wiem też, czy tak ostro tu krytykowanego wstępu nie należałoby zamienić w pierwszy rozdział. Być może tak właśnie trzeba będzie zrobić.

Proszę jednak nie sugerować się nazwą „wstęp”. Chyba wszyscy zgodzą się z tym, że byłoby lepiej, gdyby takiego wstępu, jakie widzimy w pracach doktorskich i habilitacyjnych, w syntezie naszej nie pomieszczać, lecz od razu przejść do meritum.

Ogromnie mnie irytują — zwłaszcza w rozprawach dyplomowych — wstępy, w których autor mówi, o czym to on będzie pisał w dysertacji. Zajmuje to najczęściej 7—8 stron i nie wiadomo właściwie, czemu służy. Żadnej tego typu „wstępologii” w naszym zarysie nie będzie.

Mgr Z. M. Kowalewski mówił o dwóch cezurach wewnętrznych. Co do jednej (1930 r.) nie miał wątpliwości, co do drugiej (1945 r.) wątpliwości zgłaszał. Otóż, jeśli użyłem w referacie być może nie najszcześniejszego określenia „odwilż”, to dlatego, że chciałem ustawić niejako sprawy Ameryki Łacińskiej w określonej atmosferze politycznej, jaka zapanowała w świecie zaraz po zwycięstwie aliantów nad koalicją faszystowską. Nie ulega wątpliwości, że miały znaczenie takie fakty, jak nawiązanie stosunków dyplomatycznych i pewne zbliżenie między państwami Ameryki Łacińskiej a ZSRR i krajami wschodnioeuropejskimi, jak dojście do władzy w niektórych państwach latynoamerykańskich sił liberalnych i postępowych. Mówi się często o Gwatemali Arbenzowskiej, a przecież nie urodziła się ona w 1950 r., lecz już za prezydentury Arevalo w 1945 r. Rok 1945 przyniósł skromne elementy bardzo krótkotrwałej „odwilży”, szerszy oddech w warunkach liberalizacji. Nie twierdzą, że jest to najlepsza granica periodyzacyjna, lecz sądzę, iż przesuwanie jej do lat 1952—1953 („zimna wojna”) jest dyskusyjne. Również do tej kwestii wypadnie powrócić w następnych naszych debatach.

Parę osób, m.in. dr J. Milewski, podkreślało wagę sprawy ujęcia syntezy, zastanawiając się, czy lepiej skonstruować ją „strefowo” czy „państwowo”. Sądzę, że obawy dyskutantów sprowadzają się do tego, że jeśli napiszemy książkę mającą w zasadzie układ „strefowy”, to wówczas mało przygotowany czytelnik nie zorientuje się w dziejach poszczególnych krajów, o których chciałby się czegoś dowiedzieć, że zagubi się i nie odnajdzie tego, czego szuka. Otóż wydaje mi się, że nie zagubi się, będzie miał bowiem do dyspozycji rozmaite zestawienia (typu chronologicznego i in.), które pomogą mu w odnalezieniu mniej ważnych szczegółów, nad którymi — pisząc o wielkich problemach — przejdziemy w tekście do porządku dziennego. A zresztą, czy można sensownie uprawiać dzieje Ameryki Łacińskiej w interesującym nas okresie, biorąc za podstawę system państwowy? Bardzo wątpię. Weźmy np. pod uwagę kraje Ameryki Środkowej. Jej mieszkańcy mówią wprawdzie o sobie, że są Gwatemalczykami, Salwadorczykami itd., ale przede wszystkim podkreślają, iż Środkowoamerykanami (*centroamericanos*). Świadomość jedności strefowej jest tam bardzo silna, a wywodzi się jeszcze z okresu kolonialnego, a także z epoki federacji, jaka powstała po uzyskaniu niepodległości. Ludzie z krajów La Platy czują też swoją wspólnotę. Mówię oczywiście o Argentynie i Urugwaju. Gdy zaś idzie o kraje andyjskie, to ileż zjawisk i procesów historycznych łączy np. Peru i Boliwię, a nie wspominam nawet okresów, kiedy kraje te były zjednoczone.

W wielu wypadkach ujęcie syntezy w ramy państwowe byłoby bardziej szkodliwe niż ujęcie „strefowe”. Wyraźnie zresztą podkreśliłem, że osobną strefą (jedno-państwową) jest Meksyk, podobnie Brazylia. Odrębną strefę tworzą kraje karaibskie. Rozpatrywanie ich dziejów wyspa po wyspie jest w ogóle bezsensowne.

Na zakończenie słów parę o problematyce polskiej w naszej przyszłej syntezie. Nikt nie miał żadnej wątpliwości co do tego, że sprawy polskie nie powinny przesłaniać wewnętrznej i zewnętrznej historii Ameryki Łacińskiej. Nie należy jednak popadać w drugą skrajność. Teoretycznie rzecz tę ująć jest łatwo, w praktyce będzie to trudne. Pragnę zapewnić, iż postaramy się, by sprawy Polski i roli Polaków w dziejach Latynoameryki wyważyć i przedstawić obiektywnie i w prawidłowych proporcjach.

Pragnę na zakończenie naszej konferencji podzielić się z Państwem kilkoma uwagami ogólnymi.

Wpierw nieco „buchalterii sprawozdawczej”. Konferencja poświęcona dziejom Ameryki Łacińskiej XIX i XX w. trwała, jak wiadomo, dwa dni i miała cztery posiedzenia. Łącznie zabrało głos kilkadziesiąt osób. Pięćdziesiąt sześć razy na trybunie naszej zmieniał się mówca. Sama ta liczba świadczy o tym, że konferencja była zebraniem prawdziwie dyskusyjnym. To chyba bardzo dobrze. Toczyła się nieskrępowana dyskusja, nie było natomiast odczytywania wypracowań z kartki. Głosy były różnego typu: łagodne i zadziorne, nieraz ostre, niekiedy może nieco za ostre. Podnoszono problemy ważne, czasem też wprowadzono do dyskusji wspominki osobiste, bardzo cenne i interesujące. Dochodziło do różnych starć polemicznych. W sumie konferencja była żywa.

Rozważaliśmy bardzo wiele kwestii. Może nawet zbyt wiele. Zapewne lepiej byłoby rozbić konferencję na dwie, gdyż dyskutowanych problemów było za dużo. Przechodziliśmy od teoretycznych rozważań nad metodami badań wzrostu gospodarczego do spraw źródłoznawczych i historiograficznych, od zagadnień stosunków międzynarodowych i różnych aspektów dziejów politycznych do problemów syntezy, od zagadnień etnologicznych z pogranicza socjologii do kwestii „czysto” historycznych, zagadnień biograficznych itd.

Jedną z najważniejszych pozytywnych cech konferencji było to, że spotkała się spora grupa ludzi zainteresowanych sprawami latynoamerykańskimi — historyków i niehistoryków. A konferencja to nie tylko sesje, lecz również dyskusje kulturalowe. Sądzę, że poznaliśmy się lepiej i to jest dość istotne. Kontakty późniejsze i współpraca będą ułatwione.

Czy dowiedzieliśmy się wiele nowego, co byłoby ważne dla naszej pracy i dla pracy innych ośrodków? Trudno mi odpowiadać na to pytanie za tu obecnych. Jeśli chodzi o mnie, to dowiedziałem się niemało, ale nie to nawet jest najważniejsze. Wiele spraw przedstawiono w referatach i dyskusji bardzo ciekawie. Myślę, że niektóre osoby po tej konferencji, takie jest przynajmniej moje odczucie, będą niejako drażnione przez pewne problemy, które tu zostały postawione, że będą do nich wracać, spoglądać na swoje prace wysuwając nowe pytania badawcze. W tym upatrywałbym dużą wartość naszej imprezy. To np., że dwie osoby, które ze sobą polemizowały i wzajemnie się nie przekonały, niczego złego nie przynosi. Badacz nawet nie przekonany będzie kontrolować dalszy tok swego rozumowania, będzie sięgać do nowych źródeł, będzie usiłować inaczej może spojrzeć na rozpatrywane zjawisko i sprawdzić, czy jego postawa naukowa jest słuszna, czy też należałoby ją zmodyfikować.

Konferencja nasza, jestem tego pewien, nie jest ostatnią, lecz pierwszą z serii latynoamerykańskich konferencji historycznych. Mieliśmy już zresztą bardzo ciekawe seminaria etnograficzne w Poznaniu, które będą — i to bardzo dobrze — kontynuowane. Na tej sali powstała inicjatywa zorganizowania konferencji tematycznie nie związanej już z historią najnowszej Ameryki Łacińskiej lecz z dawniejszymi epokami w jej dziejach. To również istotny pozytywny aspekt naszej konferencji. My zaś będziemy w mniejszym raczej gronie dyskutować poszczególne etapy projektowanej syntezy. Sądzę, że po naszej konferencji, która dobiega już końca, kontakty między polskimi latynoamerykanistami będą coraz ściślejsze. Dlatego wypada zamknąć moje końcowe przemówienie słowami: „do widzenia”, a zarazem „do roboty”.